

Miklós Nyiszli: Byłem asystentem doktora Mengele

W przededniu 75. rocznicy wyzwolenia Auschwitz-Birkenau zachęcamy do lektury fragmentu świadectwa lekarza Miklósa Nyiszli'ego, który jako więzień obozu, został wyznaczony do przeprowadzania sekcji zwłok ofiar eksperymentów medycznych dokonywanych przez Josefa Mengele. Z rozkazu tego ostatniego, sprawował również opiekę lekarską nad więźniami i esesmanami obsługującymi komory gazowe i krematoria na terenie obozu zagłady.

Wspomnienia doktora Miklósa Nyiszli'ego ukazały się w książce pt. „Byłem asystentem doktora Mengele”. Z niej pochodzi poniższy fragment.

Z rampy dobiega przeciągły ryk syreny. Jest wczesnie rano. Podchodzę do okna, z którego rozpościera się widok wprost na tory. Stoi na nich długi skład wagonów. W ciągu kilku minut esesmani odsuwają drzwi i już wylewa się kolejny transport „wybranego ludu Izraela”. Zbiórka i selekcja zajmują niecałe pół godziny. Lewa strona rusza wolnym krokiem.

Do mego pokoju dochodzą odgłosy głośnych rozkazów i pośpiesznych kroków. Płyną one z kotłowni krematorium: trwają tam przygotowania do przyjęcia transportu. Odzywa się szum prądnic, rozpoczynają pracę

ogromne wentylatory: w piecach podnosi się temperaturę do najwyższego stopnia. Pracuje jednocześnie kilka dużych wentylatorów. Przy każdym piecu jeden. Pomieszczenie, w którym pali się zwłoki, jest duże, jasne, wybielone, z betonową podłogą i olbrzymimi, okratowanymi oknami. Paleniska obudowano czerwoną cegłą, każdy piec osobno. Potężne, żelazne drzwiczki, wypolerowane do błysku, tworzą rząd ciemnych plam wzdłuż całej sali.

Transport w ciągu pięciu-sześciu minut dociera do bramy. Otwierają się jej skrzydła. Kolumna piątkami jak zwykle wchodzi na dziedziniec. O tym, co teraz nastąpi, nikt na świecie nie wie, bo ten, kto mógłby przekazać wiadomość, nigdy już stąd nie wyjdzie. A więc droga tych z lewej strony wiedzie do krematorium. Bynajmniej nie do obozu wypoczynkowego dla starców, chorych i dzieci, jak to podają Niemcy podczas selekcji tym, którzy zakwalifikowani zostali, jako zdolni do pracy, na prawą stronę.

Kolumna ludzi piątkami jak zwykle wchodzi na dziedziniec. O tym, co teraz nastąpi, nikt na świecie nie wie, bo ten, kto mógłby przekazać wiadomość, nigdy już stąd nie wyjdzie

Idą wolno, zmęczonym krokiem. Na wpół senne dzieci uczone spódnice matek. Niemowlęta trzymane w ramionach przez ojców. Niektórzy pchają wózki.

Eskorta SS pozostaje

za bramą. Tablica ostrzega, że obcym, nawet obcym esesmanom, wstęp wzbroniony! Przybysze natychmiast spostrzegają na podwórzu krany. Szeregi załamują się. Ludzie z naczyniami w ręku tłoczą się, aby ugasić

pragnienie. Nic dziwnego, że są niecierpliwi. Przez pięć dni prawie nie pili wody, a to, co pili, było zatęchłe i nie gasiło pragnienia. Straż SS, która przyjmuje transport, przyzwyczała się już do tej sceny. Cierpliwie czeka, aż wszyscy kolejno napełnią naczynia. Dopóki ludzie nie ugasa pragnienia i tak nie zapanuje tu porządek. Powoli wracają wszyscy do szeregów. Idą około stu metrów po wysypanej żwirem alejce, aż do żelaznej bariery, skąd prowadzi kilka betonowych schodków w dół, pod ziemię, do betonowego pomieszczenia. Przed zejściem znajduje się ogromna tablica z napisami w języku niemieckim, francuskim, greckim i węgierskim, że tu znajduje się łaźnia i dezynfekcja. Ten napis uspokaja zarówno tych niczego nie podejrzewających, jak i tych, pełnych najgorszych przypuszczeń. Prawie z radością schodzą w dół po schodkach.

Transport trafia do obszernego, jasno oświetlonego i wybielonego pomieszczenia, które ma około 50 metrów długości. Środkiem sali ciągną się kolumny. Wokół kolumn i pod ścianami ławki. Nad ławkami długi rząd wieszaków z numerami. Gęsto rozmieszczone tabliczki ogłaszają w różnych językach, że ubranie i obuwie należy związać i powiesić na wieszaku, a numer zapamiętać dokładnie, aby po powrocie z kąpieli nie powstał niepotrzebny tumult. „Prawdziwe niemieckie poczucie porządku!” mówią ci, którym imponuje ta niemiecka cecha. Mają rację! Rzeczywiście dzieje się to wszystko w imię porządku, po to, aby oczekiwane z utęsknieniem w Trzeciej Rzeszy tysiące par butów nie pomieszały się. To samo dotyczy ubrań – to ważna sprawa, aby bombardowanej ludności niemieckiej dostarczyć je w dobrym stanie. W pomieszczeniu znajdują się setki ludzi. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Wchodzą żołnierze SS. Natychmiast pada komenda: *wszyscy rozbierać się*. Zostaje określony czas. Dziesięć minut! Starcy, dzieci, żony i mężowie stoją jak sparaliżowani. Kobiety i dziewczyny zawstydzone

bezradnie spoglądają na siebie. Może nie zrozumiały dokładnie niemieckich słów? Rozkaz zostaje jednak powtórzony. Głos jest niecierpliwy, groźący.

Ludzie podejrzewają coś złego. Instynktownie wzbraniają się. Ale po chwili rezygnują. Przyzwyczaili się do sytuacji, w której można ich zmusić do wszystkiego. Powoli zaczynają się rozbierać. Starcom, kalekom i psychicznie chorym pomagają ludzie z Sonderkommanda. W ciągu 10 minut wszyscy są już nadzy. Na wieszakach wiszą ubrania, a buty związane sznurówkami stoją na baczność. Każdy dobrze zapamiętał numer swego wieszaka...

Esesmani torują sobie drogę w gęstym tłumie do znajdujących się w końcu sali szerokich, dwuskrzydłowych, dębowych drzwi. Otwierają je. Nadzy ludzie tłoczą się do następnej, również oświetlonej sali. Pomieszczenie jest o połowę mniejsze niż szatnia. Nie ma w nim wieszaków i ławek. Na środku wielkie, czworokątne słupy. Nie są to kolumny podtrzymujące sklepienie, tylko potężne blaszane rynny, z ażurowymi, niby kratownica, bokami.

Już wszyscy są w środku. Rozlega się głośnie komenda: *SS i Sonderkommando opuścić łaźnię*. Wychodzą, dokładnie sprawdzając, czy nikt z nich nie został. Drzwi zatrząskują się. W łaźni gaśnie światło.

Tymczasem na dworze rozlega się warkot motoru. Przyjeżdża luksusowa karetka Czerwonego Krzyża. Wsiadają z niej oficer SS i SDG (SanitStsdienstgehilfe), czyli esesman z pomocniczej służby sanitarnej. Ten ostatni niesie w ręku cztery blaszane puszki pomalowane na

zielono. Wchodzą na trawnik, z niego na betonowy płaski dach, nad którym sterczą niskie, betonowe kominy. Podchodzą do pierwszego. Wkładają maski gazowe. Zdejmują przykrywą komina. Jest ciężka, z betonu. Otwierają patentowy zamek jednej z puszek i jej zawartość – zielonkawe ziarna wielkości fasoli – wsypują przez otwór. Kryształki wpadają do blaszanych rynien, znajdujących się w podziemnym pomieszczeniu – nie wysypują się na zewnątrz, pozostają w rurach. To cyklon. Natychmiast po zetknięciu się z powietrzem wydziela się gaz. Gaz rozchodzi się przez otwory: w ciągu kilku sekund wypełnia całe pomieszczenie, w którym kłębią się tłumy ludzi. W ciągu pięciu minut koniec z całym transportem.

Czyż nie przebiegłą podłością jest fakt, że samochód, którym przewozi się puszki z gazem, nosi międzynarodowy znak Czerwonego Krzyża?

Sanitarka z czerwonym krzyżem pojawia się z przybyciem każdego transportu. Przywozi gaz skądś z zewnątrz. W krematorium nigdy nie ma

pełnych puszek. To przebiegła ostrożność, ale czyż nie większą przebiegłą podłością jest fakt, że samochód, którym przewozi się puszki z gazem, nosi międzynarodowy znak Czerwonego Krzyża? Dwóch katów, którzy przywieźli gaz, czeka jeszcze pięć minut, aby upewnić się, czy dobrze wykonali swoją pracę. Zapalają papierosy i wsiadają do samochodu. Zamordowali trzy tysiące ludzi!

Po dwudziestu minutach idą w ruch elektryczne wentylatory, aby usunąć gaz. Otwierają się drzwi. Nadjeżdżają samochody ciężarowe. Jedna z grup Sonderkommando ładuje osobno na ciężarówki buty,

osobno ubrania. Wiozą je do dezynfekcji. Tym razem do prawdziwej dezynfekcji. Stamtąd wagonami rozwiezie się ten łup do różnych ośrodków w Niemczech.

Nowoczesne wentylatory wysysają gaz, ale pozostaje on jeszcze w niewielkich ilościach, w kątach, szparach, wśród umarłych. Wciągnięcie do płuc choćby małego haustu, nawet po godzinach, powoduje duszący kaszel. Dlatego też grupa więźniów Sonderkommanda, która wkracza do tego pomieszczenia z gumowymi hydrantami, wkłada maski gazowe. Sala jest znów jasno oświetlona. Przed wkraczającymi rozpościera się straszliwy obraz.

Zwłoki nie leżą rozsiane na podłodze sali, tylko wznoszą się w potwornym, splątanym, wysokim stosie. Kryształowe wydzielające gaz, zatruwają początkowo dolne warstwy powietrza, nad samą podłogą, dopiero stopniowo gaz wznosi się coraz wyżej. Dlatego nieszczęśnicy traktują się nawzajem, wchodząc jedni na drugich. Tych, co są wyżej, gaz dosięgnie później. Jak straszliwa walka rozgrywa się tu o życie! O jedną, dwie minuty życia! Gdyby jeszcze zdolni byli do myślenia, zrozumieliby, że na darmo depczą swoich rodziców, żony, dzieci; ale oni już nie myślą, kieruje nimi wyłącznie instynkt samozachowawczy. Obserwuję, że na samym spodzie tej piramidy leżą niemowlęta, na nich dzieci, potem kobiety i starcy, a na wierzchu najsilniejsi mężczyźni.

Splecione w śmiertelnym uścisku ciała, z krwawiącymi nosami, z krwawiącymi ustami, podrapane do krwi w walce. Głowy spuchnięte, zsiniałe, zmienione nie do poznania. A mimo to ludzie z Sonderkommanda często poznają wśród umarłych swoich bliskich... I ja boję się okropności takiego spotkania.

Nie mam tu nic do roboty, ale mimo wszystko zszedłem na dół, między umarłych. Mam wobec swego narodu i wobec świata obowiązek; gdybym w wyniku jakiegoś zupełnie nieprawdopodobnego zrządzenia losu wyszedł mimo wszystko stąd żywy – na co zresztą trzeźwo myśląc nie mogę liczyć – mógłbym dać świadectwo temu, co tu na własne oczy widziałem.

Jedna z grup Sonderkommanda w wysokich, gumowych butach staje wokół góry trupów i spłukuje ją mocnym strumieniem wody. Jednym z ostatnich momentów gazowej śmierci jest bowiem wypróżnienie – wszystkie trupy są zanieczyszczone.

Gdy już zakończono tę „kąpiel umarłych” – z jakim bólem i samozaparciem wykonuje Sonderkommando tę pracę – rozpoczyna się rozplątywanie góry ciał. Ciężka to praca; zakładając postronki na przeguby zaciśniętych w pięści dłoni rozrywa się piramidę, wlecze się śliskie, mokre zwłoki do znajdującej się w sąsiedniej sali windy. Pracuje tam wielki dźwig towarowy. Na platformę kładzie się po dwadzieścia – dwadzieścia pięć trupów. Dzwonkiem sygnalizuje się, że winda może ruszyć. Podjeżdża ona w górę, do krematorium – wielkie drzwi rozchylają się automatycznie. Czeka przy nich następna część komanda. Na przeguby umarłych znów zakłada się postronki i ciągnie się zwłoki po śliskim pasie, po betonowej podłodze i układa przed piętnastu paleniskami pieców.

Zwłoki starych, młodych i dzieci leżą długim rzędem na betonie. Z nosa, z ust, z pokaleczonych ciał sączy się krew, miesza się z płynącą nieustannie po betonowej podłodze wodą, lejącą się z otwartych

kranów.

Teraz następuje kolejny akt wzbogacania się na ofiarach. Trzecia Rzesza przywłaszczyła sobie już ich ubrania i buty. Włosy również są wartościowym materiałem, używanym do produkcji bomb z opóźnionym zapłonem. Ludzki włos nie reaguje na suche i wilgotne powietrze. Ta jego właściwość gwarantuje precyzyjną punktualność wybuchu bomby. A więc strzyże się umarłych.

*Dwadzieścia tysięcy ludzi
wchodzi codziennie do komór
gazowych, a stamtąd trafia do
pieców*

Majątkiem Trzeciej Rzeszy jest nie złoto, ale praca ludzka – grzmi na cały świat propaganda. A oto rzeczywistość: ośmiu ludzi z

„dentystycznego komanda” stoi przed piecami, w ich rękach dwa rodzaje narzędzi czy też instrumentów. W jednym ręku dłuto, w drugim kleszcze. Obracają ofiary twarzami do góry i przystępują do okropnego procederu – rozwierają zaciśnięte szczęki i raczej wyłamują niż wrywają mostki i złote zęby. Członkami tego komanda są doskonali lekarze dentyści i chirurdzy. Doktor Mengele wzywał specjalistów do zgłoszenia się pod pozorem zapewnienia opieki dentystycznej w obozie. Zgłosili się, bo byli przekonani, że otrzymają zajęcie zgodne ze swoim wykształceniem. Wpadli do piekła krematorium. Tak samo jak ja.

Złote zęby wrzuca się do wiaderka wypełnionego kwasem solnym. Kwas zeżre cząstki mięsa i kości. Zostanie samo złoto. Inne rzeczy, jak: perły, złote i platynowe łańcuchy, pierścienie, wrzuca się do osobnej, przeznaczonej specjalnie do tego celu, zamkniętej skrzyni. Przedmioty wrzuca się przez szparę w wieku. Złoto to ciężki metal. Prowizorycznie oceniam, że w każdym krematorium zbiera się codziennie kilka kilo: Oczywiście zależy to od transportu. Są transporty biedne i bogate, w zależności od tego, skąd pochodzą.

Transporty z Węgier przybywają na rampę już całkowicie ograbione. Transporty z terenów Holandii, Czech i Polski, mimo wieloletniego getta, ustrzegły jednak swoją biżuterię, złoto i dolary. W ten sposób bogaci się Trzecia Rzesza.

Kiedy już ostatni złoty ząb został wyrwany, ofiary przechodzą w ręce komanda pracującego przy piecach. Pracuje, ono trójkami, umieszczając zwłoki na specjalnych noszach, sporządzonych ze stalowych płyt na kółkach. Ciężkie, żelazne drzwiczki pieców otwierają się automatycznie. Wózki toczy się do rozpalonego do białości wnętrza. Tam zrzucają one swój ładunek, po czym cofają się. Są rozżarzone do czerwoności. Dwóch ludzi leje na nie potężne strumienie wody z gumowych węzów.

Ciała spalają się w ciągu dwudziestu minut. W krematorium pracuje piętnaście palenisk. Dzienna przepustowość – pięć tysięcy ludzi. Wszystkie cztery krematoria mają taką samą przepustowość. Dwadzieścia tysięcy ludzi wchodzi codziennie do komór gazowych, a stamtąd trafia do pieców. Dusze tysięcy ludzi ulatują codziennie przez

kominy. Nie pozostaje po nich nic więcej, poza kupką popiołu na podwórzu krematorium. Samochody wywożą te prochy nad odległą stąd o dwa kilometry Wisłę i rzucają w jej fale.

Laboratorium i sala sekcyjna powstały na życzenie mego szefa, doktora Mengele, aby zaspokoić jego naukowe ambicje. Urządzono wszystko w ciągu kilku dni i doktor Mengele czekał jedynie na specjalistę od sekcji zwłok, by rozpocząć swoje badania.

Tu, na terenie obozu koncentracyjnego, otwierają się nieograniczone możliwości do przeprowadzania badań anatomo-patologicznych w bardzo wielu przypadkach samobójstw, prac nad zagadnieniem bliźniactwa, wad rozwojowych: karłowatości i gigantyzmu. Takiej ilości zwłok do sekcji, jak tutaj, nigdzie indziej nie można znaleźć. Z własnego doświadczenia wiem, że w największych, światowej sławy klinikach instytuty medycyny sądowej oraz instytuty sekcji zwłok otrzymują rocznie zaledwie sto, sto pięćdziesiąt ciał, natomiast w oświęcimskim kacecie znajduje się „materiał badawczy” idący w miliony.

Każdy, kto przekroczył bramy kacetu, może stanowić przedmiot sekcji zwłok. Kogo ślepy los rzuci na lewą stronę, ten za pół godziny trafia do komory gazowej i staje się trupem. I ci są szczęśliwsi. Inni, kierowani na prawą stronę, są skazani na długotrwałe męczarnie. Oni również są kandydatami do sekcji zwłok, ale ich życie zakończy się dopiero za trzy-cztery miesiące, w ciągu których przyjdzie im poznać całe piekło

kacetu. Będą padać pod ciężarem niewolniczej pracy. Krwawić z tysiąca ran. Ginać z głodu. Tracić zmysły i wyc z wytrzeszczonymi oczyma. Zamarzać na polach. Wytresowane psy będą z nich wrywać resztkę mięsa. A gdy na ich wysuszonych do kości ciałach nie znajdą pożywienia nawet wszy, dopiero wówczas przyjdzie po nich śmierć-wyzwolicielka. Któż więc z ojców, matek, braci, sióstr oraz dzieci wyciągnął lepszy los: czy ci, którzy trafili na prawo, czy też ci, którzy znaleźli się po lewej stronie?

W największych, światowej sławy klinikach instytutu medycyny sądowej otrzymują rocznie 100-150 ciał, natomiast w oświęcimskim kacecie znajduje się „materiał badawczy” idący w miliony

Natychmiast po przybyciu transportu jeden z esesmanów przechodzi wzdłuż ustawiającego się szeregu i wyszukuje bliźnięta oraz karły. Matki spodziewają się po tym czegoś dobrego i bez

namysłu oddają swoje dzieci. Starsi zaś przypuszczają, że będąc bliźniakami stanowią ciekawy materiał dla badań naukowych: to może im wyjść tylko na dobre i zgłaszają się z ochotą. Tak samo rozumują karły.

Bliźnięta i karły zostają więc oddzielone i przechodzą na prawą stronę. Strażnicy odprowadzają tę grupę do specjalnego baraku. W baraku tym jest dobre wyżywienie, są wygodne miejsca do spania, odpowiednie warunki higieniczne, obowiązuje dobre obchodzenie się z więźniami.

Jest to blok 14 w obozie Bllf. Stąd, pod eskortą, przechodzą do wspomnianego już eksperymentalnego bloku w obozie cygańskim. Tam wykonuje się na nich wszystkie lekarskie badania, które można przeprowadzić na żywym człowieku. Badania krwi, nakłucia lędźwiowe, wymienne przetaczanie krwi między bliźniakami i niezliczoną ilość różnych innych badań; wszystkie są bolesne i wyczerpujące. Malarka z Pragi, Dina, przygotowuje porównawcze rysunki kształtów głów, małżowin usznych, nosów, ust, rąk i nóg bliźniaków. Każdy rysunek trafia do specjalnej teczki, zawierającej dokładne dane osobiste, a ponadto wszystkie karty wyników badań, przeprowadzanych w trakcie doświadczeń. Identycznie postępuje się z karłami.

Doświadczenia te – pod płaszczykiem badań lekarskich – przeprowadzane in vivo, to jest na żywym organizmie, dalekie są od wyczerpania zagadnienia bliźniactwa z punktu widzenia naukowego. Są względne. Niewiele mówią. Następuje więc kolejny i najważniejszy etap badań – analiza na podstawie sekcji zwłok. Porównanie normalnych lub rozwiniętych patologicznie, względnie chorych organów. Ale aby to mogło nastąpić – trzeba zwłok. Ponieważ sekcja zwłok i analiza poszczególnych organów musi być wykonywana jednocześnie, bliźnięta muszą jednocześnie umrzeć. A więc umierają jednocześnie w eksperymentalnym baraku oświęcimskiego kacetu, w obozie Bllld; doktor Mengele pozbawia je życia.

Następuje tu jedyny w swoim rodzaju w medycynie przypadek, że w tym samym momencie umiera dwoje bliźniąt i powstaje możliwość dokonania sekcji ich zwłok. Czy zdarza się gdzie indziej na świecie taki graniczący z cudem przypadek, aby obaj bliźniacy umarli jednocześnie i można było dokonać sekcji ich zwłok?! Warunki życiowe rozdzielają

bliźniaków. Żyją nieraz oddaleni od siebie o dziesiątki czy setki kilometrów, nie umierają na zawołanie. W normalnych warunkach nie ma możliwości przeprowadzenia porównawczej sekcji zwłok bliźniąt. W oświęcimskim obozie żyją natomiast setki bliźniąt, a ich uśmiercanie stwarza setki możliwości badawczych.

Dlatego dr Mengele wybiera na rampie bliźnięta i karły. Dlatego idą na prawą stronę, a następnie dostają się do „dobrego” baraku. Dlatego korzystają do czasu z lepszego wyżywienia, dlatego mogą myć się, aby przypadkiem jedno z nich nie zachorowało i nie umarło wcześniej. Mogą umierać tylko parami, w pełni zdrowia, jednocześnie!

Wchodzi oberkapo Sonderkommanda. Powiadamia mnie, że przy bramie krematorium oczekuje mnie esesman z grupą więźniów niosących zwłoki. Wychodzę do nich, ponieważ obcym, a więc i im, nie wolno wchodzić nawet na podwórze. Odbieram od esesmana dokumenty. Wręcza mi teczki z papierami pary bliźniąt. Złożone z kobiet komando stawia przede mną przykryte nosze. Uchylam prześcieradło. Leżą pod nim zwłoki dwuletnich bliźniąt. Wzywam swoich ludzi, aby przenieśli nosze do sali sekcyjnej i umieścili je na stole.

Otwieram teczki i przeglądam dokumenty. Zawierają one naukowe rozpracowanie obu bliźniaków, poparte zdjęciami radiologicznymi, rysunkami, wynikami badań lekarskich na wysokim klinicznym poziomie. Brakuje jedynie protokołu sekcji zwłok. To już moje zadanie! Tych dwóch małych bliźniaków umarło jednocześnie. Na wielkim stole sekcyjnym leżą ich ciała. Swoją śmiercią umożliwiają dokonanie na nich sekcji, mają przyczynić się do rozwiązania tajemnicy

Czy zdarza się gdzie indziej na świecie taki graniczący z cudem przypadek, aby bliźniacy umarli jednocześnie i można było dokonać sekcji ich zwłok?

rozmnażania się. „Wielkim celem” tych badań jest wzmożenie przyrostu naturalnego powołanej do panowania „wyższej rasy”. Chodzi dokładnie o to, aby każda niemiecka

matka rodziła w przyszłości bliźniaki. Ten plan – to szaleństwo! Wymyśliły go chore umysły rasistowskich teoretyków Trzeciej Rzeszy. Przeprowadzenia potrzebnych badań podjął się zaś doktor Mengele, Standortarzt obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, „Kriminal-doktor” o wielkim przygotowaniu, lekarz-złoczyńca.

To najniebezpieczniejszy typ wśród zbrodniarzy, posiadający w dodatku ogromną władzę. Posyła na śmierć miliony, ponieważ według niemieckiej teorii rasy to nie ludzie, lecz stworzenia niższego gatunku, mające szkodliwy wpływ na ludzkość. Tenże sam złoczyńca całymi godzinami siedzi przy mnie wśród mikroskopów, probówek i szklanych kolb lub godzinami stoi przy stole sekcyjnym w zakrwawionym kitlu badając i szperając zakrwawionymi rękami. Chodzi o rozmnożenie rasy germańskiej, celem ostatecznym jest to, aby wystarczyło Niemców do zaludnienia terenów uznanych za Lebensraum Trzeciej Rzeszy, z których usunie się przedtem Czechów, Węgrów, Polaków, Holendrów i inne narody.

Kończę sekcję zwłok bliźniaków. Sporządzam protokół, wpisuję do książki dokładnie wszystkie spostrzeżenia. Widzę, że Mengele jest zadowolony z mojej pracy. Z pewnym trudem odczytuje moje przypominające druk pismo. To w Ameryce nauczyłem się w ten sposób pisać. Poddaję mu, że jeżeli życzy sobie mieć przejrzyste pisane protokoły i książki, to niech się postara o maszynę do pisania. Na maszynie pisałem również w domu.

– *Do jakiego typu maszyny jest pan przyzwyczajony?* – pyta.

– *Do Olympii Elit* – odpowiadam.

– *W porządku. Dostanie pan taką maszynę. Jutro ją przyślę. Żądam porządnej roboty, bo dokumenty idą do Instytutu Badań Antropologicznych i Biologiczno-Rasowych Berlin-Dahlem.*

A zatem badania te odbywają się pod nadzorem wybitnych naukowców jednego z najgłośniejszych instytutów medycznych. Na drugi dzień esesman przynosi mi maszynę do pisania – Olympię.

Otrzymuję też kolejne zwłoki bliźniaków. Przyniesiono cztery pary bliźniaków z obozu cygańskiego. Są to cygańskie dzieci, wszystkie poniżej dziesięciu lat.

Kończę sekcję zwłok jednej pary bliźniaków. Protokołuję poszczególne fazy sekcji. Zdejmuję pokrywę czaszki. Wyjmuję mózg z rdzeniem przedłużonym. Dokładnie oglądam. Następnie otwieram klatkę piersiową, wyjmuję mostek. Wydobywam język z przełykiem przez nacięcie pod żuchwą. Wyjmuję tchawicę i oba płaty płuc. Obmywam narządy celem dokładnego ich obejrzenia. Wszystko bardzo zakrwawione, a przecież każda najdrobniejsza plamka, odbarwienie, może dać ważne wskazówki. Otwieram worek osierdziowy, zbieram zawarty w nim wysięk. Wyjmuję serce. Pod bieżącą wodą zmywam krew. Obracam w dłoni. Na zewnętrznej stronie mięśnia lewej komory dostrzegam bladoczerwoną plamkę wielkości łebka od szpilki, prawie nie różniącą się od otoczenia. Nie mogę się mylić. Ukłucie igłą, bardzo delikatną. Naturalnie igłą od strzykawki. Z jakiego powodu dziecko dostało zastrzyk dosercowy? Zastrzyk dosercowy może dostać ktoś w przypadku nagłej niedomogi serca. Zaraz się dowiem. Nacinam serce, otwieram lewą komorę. Przy sekcji zazwyczaj zbieramy i mierzymy krew zawartą w lewej komorze. Postępowania tego nie można tu zastosować, gdyż krew zamieniła się w twardy skrzep. Szczypczykami oddzielam skrzep i wążam. Uderza mnie specyficzny, mocny zapach fenolu. A więc dziecko otrzymało zastrzyk z fenolu.

Kolana drżą mi ze zdenerwowania. Odkrywam jedną z najciemniejszych tajemnic wiedzy lekarskiej Trzeciej Rzeszy. A więc tu zabija się nie tylko przy pomocy gazu, ale również zastrzykami fenolu wprost do serca! Na czoło występuje mi perlisty pot. Na szczęście jestem sam. Trudno byłoby mi ukryć podniecenie przed innymi. Kończę sekcję. Dokonuję oceny znalezionych anomalii, spisuję je, ale nie wspominam ani słowem o ukłuciu na lewej komorze serca i znalezionej zakrzepłej grudce krwi. To ostrożność z mojej strony. Mam w ręku przysłane przez dra Mengele teczki bliźniaków. One również zawierają dokładne dane,

wyniki badań, zdjęcia rentgenowskie, rysunki. Nie ma w nich jednak ani słowa o przyczynie śmierci. Ta rubryka pozostaje pusta. I ja również nie wypełniam w protokole sekcji zwłok punktu dotyczącego powodu zgonu. Nie byłoby wskazane przekroczyć granicy rozsądku i wpisać to, co stwierdziłem. Nie jestem tchórzem. Mam silne nerwy. Dokonałem w swoim życiu wielu sekcji zwłok i wykrywałem niezliczoną ilość różnego rodzaju przyczyn śmierci. Widziałem zamordowanych z zemsty, zazdrości lub chęci zysku. Ustalałem sposoby popełniania samobójstwa oraz objawy chorób, które spowodowały śmierć. Przyzwyczyłem się do wykrywania doskonale ukrytych w ciele przyczyn zgonu. Wiele razy napotykałem niespodzianki zapierające dech w piersiach. Ale teraz przebiegł mi po grzbiecie zimny dreszcz strachu. W wypadku, gdyby dr Mengele domyślił się, że znam tajemnicę zastrzyków, jestem pewny, że przynajmniej dziesięciu lekarzy z Politische Abteilung przybyłoby tutaj, aby stwierdzić mój zgon.

Włosy dosłownie stają mi dęba, gdy uzmysławiam sobie, jak wiele spraw przyjąłem do wiadomości w ciągu krótkiego pobytu tutaj i jak wiele jeszcze będę musiał się dowiedzieć bez słowa sprzeciwu, póki i mnie nie spotka koniec

Zwłoki, po dokonaniu sekcji, przekazuję zgodnie z poleceniem do krematorium, gdzie natychmiast zostają

spalone. Przechowuję jedynie ciekawe, z naukowego punktu widzenia, części organów, aby dr Mengele mógł osobiście rzucić na nie okiem. A te, które mogą być ciekawe dla instytutu w Berlin-Dahlem, mam zakonserwować. Przesyłki, odpowiednio zapakowane, są wysyłane

pocztą. Żeby szybciej dochodziły do adresata, otrzymują stempel: „Pilne, przesyłka ważna dla celów wojennych”. Podczas mojej pracy wysłałem niezliczoną ilość takich paczek do instytutu Berlin-Dahlem, a odwrotną pocztą otrzymywaliśmy wyczerpujące naukowe uwagi bądź polecenia. Założyłem osobne teczki dla przechowywania korespondencji. Znalazły się w nich różne listowne podziękowania, przesyłane przez instytut doktorowi Mengele za specjalnie ciekawe eksponaty.

Kończę sekcję zwłok pozostałych trzech par bliźniaków. Dokonuję porównania narządów. I u tych ofiar również stwierdzam, że przyczyną śmierci były zastrzyki fenolu do serca... Robię ciekawe spostrzeżenia: z czterech par bliźniąt trzy różnią się barwą oczu. Jedno oko niebieskie, drugie brązowe. Zjawisko to zdarza się i u nie-bliźniąt, ale w tym przypadku na ośmioro dzieci wystąpiło aż u sześciorga! Niezwykle ciekawe nagromadzenie nieprawidłowości! W języku lekarskim nazywa się to heterochromią, tj. różnobarwnością. Wydobywam oczy, umieszczam każde osobno w roztworze formaliny. Opatruję słoiki dokładnymi opisami, aby eksponaty nie pomieszały się.

W czasie sekcji u czterech par bliźniąt stwierdzam pewne zmiany. Ściągnąwszy skórę szyi na boki, nad górną częścią mostka stwierdzam ropniak wielkości orzecha laskowego. Przy naciśnięciu szczypczykami wydobywa się z niego gęsta ropna ciecz. Bardzo rzadki, ale znany w medycynie objaw. Tak zwany ropniak Duboisa, występujący przy kile dziedzicznej. Stwierdzam go u ośmiorga bliźniąt. Wycinam ropnie wraz z otaczającą je zdrową tkanką i umieszczam w słoikach z formaliną. U dwojga bliźniąt stwierdzam gruźlicę jamistą. Wszystkie te spostrzeżenia opisuję w protokole, jedynie rubrykę „przyczyna zgonu” pozostawiam pustą.

W godzinach popołudniowych odwiedza mnie dr Mengele. Referuję mu wyniki pracy. Przekazuję protokoły sekcji zwłok pięciu par bliźniąt. Siada na krześle, z uwagą czyta dokumenty. Bardzo interesuje go heterochromia oczu, a jeszcze bardziej istnienie ropniaków Duboisa. Wydaje polecenie, abym cały materiał zapakował i wysłał pocztą załączając protokoły i podając przyczyny zgonu. Obojętne jakie, byle przyczyny śmierci były różne. Prawie usprawiedliwiając się dodaje, że te dzieci, jak sam widzę, były zarażone syfilisem i gruźlicą, a więc... Więcej nie mówi. I tak powiedział już wszystko: usprawiedliwił zamordowanie dziesięciorga dzieci. Nie kwituję tego żadną uwagą. Przyjmuję do wiadomości, że w tym środowisku lekarskim gruźlicy nie leczy się odmą, a syfilisu neosalwarsanem, lecz zastrzykami fenolu do serca.

Włosy dosłownie stają mi dęba, gdy uzmysławiam sobie, jak wiele spraw przyjąłem do wiadomości w ciągu krótkiego pobytu tutaj i jak wiele jeszcze będę musiał się dowiedzieć bez słowa sprzeciwu, póki i mnie nie spotka koniec. Zdawałem sobie z tego sprawę w momencie przekraczania bramy, ale teraz, znając już tyle tajemnic, nie mam żadnych wątpliwości, że jestem żywym trupem. Przecież to niemożliwe, aby dr Mengele i instytut w Berlin-Dahlem wypuścili mnie stąd żywego!

Jest już pod wieczór. Mengele oddalił się. Pozostaję sam z przygnębiającymi myślami. Mechanicznymi ruchami porządkuję salę; układam instrumenty, myję ręce, przechodzę do gabinetu. Zapalam

papierosa i siadam, aby trochę się uspokoić. W tym samym momencie rozlega się przerażający, ścinający krew w żyłach krzyk. Zaraz potem następuje trzask, a następnie słychać odgłos upadającego, ciężkiego ciała. Zamieram, w napięciu oczekuję, co nastąpi. Nie mija nawet minuta i znów rozlega się ten wstrząsający krzyk, nowy trzask, znów pada ciało. Naliczyłem siedemdziesiąt takich potwornych, śmiertelnych krzyków, siedemdziesiąt trzasków i tyleż ciężkich upadków. Oddalają się ciężkie kroki, wszystko cichnie.

Miejszem, gdzie przed chwilą rozegrała się straszliwa tragedia, jest pomieszczenie obok sali sekcyjnej, do którego prowadzą oddzielne drzwi z korytarza. Pusty, mroczny pokój z betonową podłogą, okratowane okno wychodzi na tylne podwórze. Używam tego pomieszczenia do przechowywania zwłok przed sekcją. Również po dokonaniu sekcji zwłoki są tu składane, dopóki nie zostaną spalone. Przed wejściem do pokoju stos brudnych, kobiecych sukien, znoszone drewniaki, okulary i kawałki suchego chleba: rzeczy charakterystyczne dla uwięzionych w kacecie kobiet.

Wchodzę do pokoju. Po tym, co słyszałem, byłem przygotowany, że zobaczę coś wstrząsającego, ale obraz, jaki rozpościera się przede mną, kiedy rozglądam się po ciemnym pomieszczeniu, przechodzi wszelkie wyobrażenia okropności. Przede mną leży siedemdziesiąt pokrwawionych nagich ciał młodych kobiet. Jedne na drugich, skąpane we krwi. Podchodzę bliżej. Ze wzrastającym przerażeniem stwierdzam, że nie wszystkie jeszcze umarły. Niektóre żyją: konwulsyjnie poruszają rękami i nogami, podnoszą zakrwawione głowy, oczy mają szeroko otwarte.

*Co wieczór o godzinie siódmej
ciężarówka przywozi
siedemdziesiąt ofiar.
Wszystkie otrzymują strzał w
potylicę*

Unoszę jedną z
ruszających się głów,
drugą, trzecią i
odkrywam jeszcze
jedną prawdę:
oprócz zabijania
gazem, zastrzykami,
stosuje się tu jeszcze

trzeci rodzaj śmierci. Strzał w potylicę. Miejsce wlotu kuli zdradza, że pochodzi ona z sześciomilimetrowej, tak zwanej małokalibrowej broni; rany ani otworu wylotowego nie ma. To wskazuje, że użyto miękkiej, ołowianej kuli. Rozpłaszcza się ona na czaszce i zostaje wewnątrz. Niestety, jestem fachowcem i w ciągu kilku chwil wiem dokładnie, co było przyczyną śmierci. Nie dziwię się już, że małokalibrowe kule nie u każdej ofiary powodowały natychmiastową śmierć, mimo iż ślady opalenia na skórze wskazują, że strzał oddano z odległości trzech, czterech centymetrów prosto w kierunku potylicy. Jeżeli nabój zboczy o jeden, dwa milimetry, nie powoduje natychmiastowej śmierci.

I to przyjmuję do wiadomości. Już nie myślę, boję się, że oszaleję. Wychodzę na podwórze, pytam jednego z ludzi Sonderkommanda, skąd przywieziono siedemdziesiąt nieszczęśnic. – *To wyselekcjonowane z obozu Bile* – odpowiada. *Co wieczór o godzinie siódmej ciężarówka przywozi siedemdziesiąt ofiar. Wszystkie otrzymują strzał w potylicę.*

Z ciężką głową, na pół przytomny chodzę po wysypanych żwirem alejkach i zielonych trawnikach. Obserwuję wieczorne zajęcia Sonderkommanda. Dziś nie ma nocnej zmiany. Krematorium I nie

pracuje. Spoglądam w stronę krematoriów II, III i IV. Kominy zieją ogniem.

Jeszcze za wcześnie na kolację. Sonderkommando przynosi przepisową futbolówkę. Ustawiają się dwie drużyny: SS kontra Sonderkommando. Po jednej stronie boiska stają strażnicy, a po drugiej więźniowie z Sonderkommanda. Kopiają piłkę. Na podwórzu rozlega się głośny śmiech. Złożona z esesmanów i ludzi Sonderkommanda publiczność kibicuje i zachęca zawodników do gry, jakbyśmy znajdowali się na jakimś zwyczajnym boisku w małym miasteczku. Ze zdumieniem przyjmuję i to do wiadomości. Ale nie czekam zakończenia meczu, odchodzę do swojego pokoju. Spożywam kolację i połykam dwie tabletki luminalu 0,10. Spać, tylko spać. Jestem bliski kompletnego załamania. Zapaść się bez reszty w sen wywołany luminalem – to jedyny ratunek.

Miklós Nyiszli

Fragment wspomnień pochodzi z książki „Byłem asystentem doktora Mengele” wydanej przez wydawnictwo Frap-Books; Oświęcim 2010, str. 34–52. Publikujemy za uprzejmą zgodą wydawcy